

ANDRZEJ

BEYA-ZABORSKI

u **Pana Boga**
... na dywaniku

rozmawia **KRZYSZTOF KĘDZIORA**

u Pana Boga
... na dywaniku

ANDRZEJ BEYA-ZABORSKI | KRZYSZTOF KĘDZIORA

u Pana Boga *... na dywaniku*

nr nawiasem
mówić...

Copyright © for the Polish Edition by Agencja Kreatywna – Kamila Kędziora, Ślesin 2023

Copyright © by Andrzej Zaborski, 2023

Copyright © by Krzysztof Kędziora, 2023

Wydawnictwo **Nawiasem mówiąc...**



KĘDZIORA

AGENCJA KREATYWNA

Agencja Kreatywna – Kamila Kędziora

Szyszyńskie Holendry 60

62-561 Ślesin

Wydawca: Kamila Kędziora

Redakcja i korekta: Natalia Tarka | Czcionka



Projekt okładki: Katarzyna Gałczyńska

Zdjęcie na pierwszej stronie okładki: Aleksandra i Krzysztof Kopras

Zdjęcia na okładce: Aleksandra i Krzysztof Kopras | Justyna Kędziora

Skład i łamanie: Justyna Kramarz | Studio Grafpa

grafpa

Druk i oprawa: Konińska Drukarnia Dzielowa

www.nadywaniku.art

facebook.com/UPanaBogaNaDywaniku

ISBN: 978-83-968017-0-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Zdjęcia:

Archiwum prywatne Andrzeja Zaborskiego: s. 10, 35, 38, 41, 52, 75, 90, 93, 98, 105, 108, 345 góra, 347, 348 góra, 349 dół, 350, 351.

Archiwum artystyczne Białostockiego Teatru Lalek: s. 113 (autor nieznan), 114 (autor nieznan), 125 (autor nieznan), 128 (P. Sawicki), 133 (R. Sieńko), 138 (P. Niemczynowicz), 141 (P. Sawicki), 148 (P. Sawicki), 151 (A. Kozłowski), 345 dół (autor nieznan), 346 (J. Żebrowski), 348 dół (B. Gudalewski).

Leszek Gburzyński: s. 349 góra.

PRZEDMOWA

Zdarzyło się prawie trzydzieści lat temu...

Przypadkiem zostałem zaproszony na spektakl Białostockiego Teatru Lalek, w którym Andrzej Zaborski i Krzysztof Dzierma grali dwóch braci. Byłem oszołomiony – ich talentem, ich charyzmą, ich osobowościami. Pomyślałem sobie, że byłoby wspaniale zrobić z nimi film, nie tylko z nimi, ale również z innymi aktorami BTL-u. Przyjechałem jeszcze raz, z kamerą wideo, i nakręciłem próbne zdjęcia wszystkim aktorom, a potem napisałem scenariusz, w którym przewidziałem role dla wszystkich.

U Pana Boga za piecem kręciliśmy z duszą na ramieniu, przedtem nie było w Polsce czegoś takiego i nie mogliśmy przewidzieć, jak widzowie odbiorą taką filmową przypowieść z Podlasia.

Okazało się, że ten film to był punkt zwrotny w naszym życiu – moim, Andrzeja, Krzysztofa i innych wspaniałych aktorów. Zdobył ogromną popularność, co również było zasługą dwóch protagonistów – komendanta i księdza proboszcza. Nakręciliśmy jeszcze dwa kolejne filmy fabularne i dwunastoodcinkowy serial. W sumie tych piętnaście filmów według

raportów TVP w latach 2010–2022 na różnych antenach pokazano ponad dwa i pół tysiąca razy. To znaczy w każdym tygodniu cztery razy można było obejrzeć któryś film lub odcinek serialu! To jest rekord, który świadczy o popularności Andrzeja i Krzysztofa. Stali się Pawlakiem i Kargulem dwudziestego pierwszego wieku.

Dziś jesteśmy po zdjęciach do czwartego filmu i kolejnego dziesięcioodcinkowego serialu *U Pana Boga w Królowym Moście*. To była wielka przyjemność spotkać się znowu na planie. Kariera aktorska Andrzeja rozwinęła się, grał dużo, również w moich innych filmach – ale rola komendanta stała się nie-dościgniona. Ona go stworzyła, chociaż tak naprawdę to on ją stworzył, swoim *vis comica*, swoim poczuciem humoru.

A ta książka jest dokładnie taka, jaki jest Andrzej. Będzie was wzruszać, będzie was intrygować, a przede wszystkim – bawić.

Jacek Bromski

*Moim ukochanym Wnukom:
Gabrysi, Wiktorowi i Frankowi.*

Andrzej

*Kamili i naszym Dzieciom:
Alicji i Jakubowi.*

Krzysztof

PIERWSZY

Opowieści o teatrze, filmie i całej twojej zawodowej karierze odłożmy sobie na później. Zacznijmy od początku, czyli od dzieciństwa. W twoim przypadku było ono nieco rozbite: mentalnie, ale i geograficznie, między Podlasiem a Śląskiem...

Urodziłem się w Wałbrzychu. Moja mama pochodziła z Białegostoku, tata spod Radomia. I właśnie on na Śląsku uczył się w szkole górniczej. Mama natomiast przyjechała do Wałbrzycha na kurs dla księgowych. Tam moi rodzice się poznali – były to lata pięćdziesiąte, krótko po wojnie.

Byłem pierworodnym synem. Po moich narodzinach wróciliśmy w rodzinne strony matki, zamieszkaliśmy w Białymstoku. I tu historia robi się ciekawsza. Jako dziecko byłem przewlekle chory, do tego stopnia poważnie, że lekarze nie dawali mi zbyt dużych szans na wyleczenie. Rodzice w tym czasie, z kompletnie nieznanymi mi przyczyn, postanowili oddać mnie na wychowanie bratu mojej matki – on i jego żona nie mieli własnych dzieci, być może

to był powód, choć dla mnie co najmniej dziwny. Moja mama zmarła w dwa tysiące dwudziestym pierwszym roku, a ja nigdy nie zapytałem jej o powód takiej decyzji. Być może nie spełniałem ich oczekiwań... albo przestraszyli



się mojej choroby. Do dziś zachodzę w głowę i nie potrafię tego zrozumieć.

W Wałbrzychu z moimi „nowymi” czy raczej „drugimi” rodzicami przez półtora roku niemal ciągle odwiedzaliśmy lekarzy w związku z moją chorobą. Byłem na bardzo restrykcyjnej diecie – jadłem praktycznie same tarte jabłka i sucharki. Ta terapia i bardzo radykalne menu pomogły mi na tyle, że w końcu choroba odpuściła. Ale ten czas dla kilkuletniego chłopca był niesamowicie uciążliwy.

Ciocia Lucyna, czyli żona mojego wujka, z czasem stała się dla mnie – w wymiarze emocjonalnym – mamą. I tak też ją nazywałem. Już gdy byłem w bardzo młodym wieku pokazała mi świat: jako mały chłopiec zjeździłem z nią Polskę wzdłuż i wszerz. W wieku czterech czy pięciu lat byłem już na Wawelu, i to w czasie, kiedy przyjechały arrasy, byłem nad morzem, w górach, w Wieliczce, w Warszawie – ciocia Lucyna postawiła sobie za punkt honoru, by pokazać mi jak najwięcej i zainteresować mnie światem. Codziennie czytała mi baśnie Andersena. To wspomnienie odbiło się w mojej podświadomości, i to na tyle, że związałem swoje dorosłe życie ze sztuką i poniekąd z bajkami.

Teraz, nawet w ramach tej naszej rozmowy, zachodzę w głowę, jak to wtedy odbierałem – to rozstanie z rodzicami, praktycznie brak kontaktu z nimi i zupełnie nowe środowisko. W Wałbrzychu miałem wszystko: bardzo dobry, kochający dom, ciocię i wujka, którzy dali mi mnóstwo miłości,

traktowali mnie jak własnego syna. Przez pierwsze dwa lata pobytu na Śląsku właściwie w ogóle nie widziałem moich biologicznych rodziców. Mówię „pierwsze dwa lata”, bo do tych moich „śląskich rodziców” odsyłano mnie dwukrotnie. Najpierw w wieku pięciu lat. Odesłany zostałem przez ciotkę z powrotem do rodzinnego domu, do Białegostoku, abym tam rozpoczął naukę w szkole podstawowej. Nie znam powodu, dla którego wróciłem wtedy na Podlasie – wydaje mi się, że to przez wujka. On wtedy zaczął nadużywać alkoholu i ciocia czuła się w obowiązku zrobić nam przerwę, żeby skupić się na problemie swojego męża. Dla mnie to był szok, bo już się jakoś poukładałem z tą sytuacją, że żyję z dala od moich prawdziwych rodziców, i nagle przychodzi informacja, że do nich wracam. Szok wynikał też z innego powodu – Wałbrzych i Białystok to były zupełnie różne światy. Śląskie miasto: czerwona cegła, czerwone dachówki, wszystko *stricte* niemieckie, gotyk... Mieszkaliśmy wtedy na Marconiego, obok był kościół ze strzelistymi wieżami. Wszystko niesamowicie zimne. Szkoła to był poniemiecki gmach z ogromnymi oknami, klasy z niesamowicie wysokimi stropami... Tymczasem Białystok to była wówczas taka sobie miejscina – nie można w ogóle tych dwóch miast porównywać.

Dla mnie Wałbrzych był wtedy wielką metropolią, miasto praktycznie wcale nie ucierpiało podczas wojny. Gdy weszli Rosjanie, to na kuchniach były jeszcze ciepłe obiady. Na ulicach i chodnikach bazaltowa kostka, trolejbusy, tramwaje,

sklepy mięsne z białymi kafelkami. Białystok wtedy – inny świat: krowy chodzące po ulicach, sławojki, zburzone miasto, budowano jakieś malutkie bloki, góra trzypiętrowe, oczywiście nie z wielkiej płyty, a z cegły; na ulicach stare francuskie autobusy...

Moje dzieciństwo było rozdarte pomiędzy tymi dwoma światami, skrajnymi właściwie pod każdym względem: architektury, krajobrazu, mentalności, historii i kultury. Było ono rozdarte nie tylko geograficznie, lecz także emocjonalnie. Ja może tak bardzo tego wówczas nie analizowałem, ale gdzieś w głębi serca byłem przekonany, że to ze mną jest jakiś problem. To było niezwykle dziwne, to był – mówię o moich prawdziwych rodzicach – taki zimny chów. Dla mnie to jest dzisiaj niewyobrażalne, gdy patrzę na moje relacje z własnymi dziećmi: bezwzględna miłość, zaopiekowanie, zainteresowanie... ja tego nie doświadczyłem ani od mamy, a tym bardziej od taty, nigdy nie doznałem od nich rodzicielskiego ciepła.

Paradoksalnie moja rodzina to nie był jakiś margines, nie była to patologia ani w sensie materialnym, ani społecznym – rodzice pracowali, nie mieli nałogów i bardzo się kochali. Nigdy się nie kłócili. Zatem jak to możliwe, że nie potrafili przełożyć tej miłości na własne dziecko – przez dziesięć lat dziecko jedyne? Do tego stopnia, że oddali je innemu małżeństwu? Nie jestem w stanie tego zrozumieć. A po tak wielu latach już nawet nie próbuję.

W Wałbrzychu była moja ciocia Lucyna, która starała się ze wszystkich sił zastąpić mi matkę i w pełni z tego zadania się wywiązywała. Problem był z wujkiem Tolkiem, jej mężem, który coraz częściej sięgał po kieliszek. Dla niej to był wielki dramat. Po dwóch latach mojego pobytu u nich wolała mnie odesłać do rodziców, niż narażać na stres związany z chorobą jej męża.

Wujek był dobrym człowiekiem, niezwykle pracowitym i uczynnym, cieszył się bardzo dobrą opinią wśród sąsiadów, z nikim się nigdy nie pokłócił. Złota rączka – umiał wszystko zrobić, wszystko naprawić. Ale gdy pojawił się w jego życiu nałóg, w ślad za nim poszły awantury z żoną, agresja – wszystko to skierowane w stronę cioci, ale nigdy wobec mnie. Czułem, że wujek bardzo mnie kocha. Ale byłem świadkiem tych ciągłych krzyków, wyrzutów, pijackich burd. Ciocia raz nawet musiała skakać przez okno z piętra, bo groził jej siekierą. Strasznie to przeżywałem.

Pamiętam warsztat, który wujek Tolek zorganizował sobie na strychu domu, w którym mieszkaliśmy. On później stał się taką moją enklawą – potrafiłem przesiadywać tam godzinami i coś strugać, budowałem statki z drewna. Fascynowały mnie wtedy okręty i historia drugiej wojny światowej. Budowałem sobie niszczyciele i pancerniki. Uwielbiałem zaszywać się na strychu, gdy padał deszcz i stukał o te czerwone, poniemieckie dachówki – to miało w sobie jakąś taką magię, a sam strych był na tyle duży i tak niesamowicie plastycznie

skonstruowany, że wspaniale można by go zagospodarować na kameralną salę teatralną.

W każdej wolnej chwili, gdy nie miałem zajęć w szkole albo innych obowiązków, Tolek zabierał mnie ze sobą do pracy, a że był konwojentem w mleczarni i objeżdżał dużą część Dolnego Śląska, dzięki tym naszym wspólnym wyjazdom mogłem poznawać nowe miejsca. To były niesamowite wycieczki, które tkwią w mojej pamięci do dzisiaj. Poza tym moi „druzdy rodzice”, a zwłaszcza ciocia, o czym chyba już wspomniałem, bardzo dbali o to, abym zobaczył jak najwięcej. Dlatego bardzo często wyjeżdżaliśmy do różnych miast, oglądaliśmy zabytki, kościoły, podziwialiśmy starówki – robiło to na mnie ogromne wrażenie.

W Wałbrzychu działały wówczas dwie drużyny piłkarskie: Górnik Wałbrzych i Górnik Tores. Ja byłem kibicem tej pierwszej, a wielu moich kolegów drugiej, w związku z czym często na podwórku dochodziło między nami nawet do bójek. Ot, takimi byliśmy prekibolami. Każdy mecz był dla nas wielkim świętem, które gromadziło na trybunach tysiące kibiców, w tym każdorazowo mnie i wujka Tolka. To z nim byłem po raz pierwszy w życiu na żużlu we Wrocławiu. Pamiętam, że stadion żużlowy, na którym rozgrywały się te mecze, był bardzo surowy w swojej budowie – nie było barier ochronnych, a gdy zawodnicy swoimi maszynami wchodzili w zakręty, to ten żużel spod kół sypał się chmurą na pierwszych kilka rzędów na widowni, a sami

kibice w tych sektorach trzymali w rękach parasole, które miały ich przed nim chronić!

Zawsze chciałem przewodzić wśród rówieśników. Organizowałem grupy podwórkowe i każdej oczywiście musiałem szefować! W okolicy naszego podwórka mieściły się takie ogromne, stare magazyny, do których taką grupą udawaliśmy się w poszukiwaniu skarbów. Pamiętam, że któregoś razu włamaliśmy się do jednego z magazynów przez okno i po wejściu okazało się, że jesteśmy w jakiejś ogromnej, pustej przestrzeni, w której unosi się bardzo nieprzyjemny zapach stęchlizny. Nie było nas dość długo, bo przecież żaden żądny przygód poszukiwacz skarbów nie patrzy na zegarek. W pewnym momencie nzebieraliśmy liści i w tej hali rozpaliliśmy ognisko – omal się nie zajęła od ognia! A po powrocie do domu każdy z nas dostał od swojej mamy – ja od cici – karę, bo one już odchodziły od zmysłów. Musiało nas naprawdę długo nie być. Po tej przygodzie dość długo bolał mnie tyłek.

Wałbrzych mieści się w kotlinie, w otoczeniu niewysokich gór. I w tych górach, dokładnie na Ptasiej Kopie, ciocia i wujek mieli działkę, którą zagospodarowali w formie ogródka warzywno-owocowego. Zimą z tego ogródka można było na dół zjeżdżać na nartach lub sankach, latem natomiast zbieraliśmy mojego kolegę z sąsiedniej klatki i jechaliśmy tam we czwórkę zbierać owoce.

A skoro już jesteśmy przy krajobrazach, to doskonale pamiętam rzekę Pełcznicę, która przecina Wałbrzych, a którą

my wtedy nazywaliśmy Czarną Rzeką. I ona rzeczywiście była czarna! Spuszczali do niej wodę użytą wcześniej do gaszenia wypalanego koksu. Rzeczka dość płytka, po kolana – nie wiem, jak teraz wygląda jej poziom – ale gdy wtedy się do niej wchodziło, to wychodząc, miało się na stopach czarne skarpetki z tego koksowego brudu. W dodatku woda śmierdziała smołą i żyły w niej – brrrrr! – szczury wodne.

Kiedyś na urodziny, które obchodziłem tam, w Wałbrzychu, otrzymałem w prezencie pistolet na kapiszony, kupiony w takim fajnym, kolorowym sklepie z zabawkami i innym towarami, w większości importowanymi z zagranicy. Często biegałem tam tylko po to, aby chwilę pobyc w środku – wszędzie dookoła szary Wałbrzych, a w tym sklepie: zabawki, zdjęcia, jakieś plakaty. To wszystko nam, wałbrzyckim dzieciakom, sprawiało wiele frajdy i było taką odskocznią od tej szarości.

Lataliśmy z chłopakami po tych okolicznych górkach, bawiąc się albo w wojsko, albo w Indian. A ja miałem bzika na punkcie rysowania planów terenu i map. Z kolei po powrocie do Białegostoku bawiłem się w Sherlocka Holmesa. I gdy tylko dowiedziałem się na przykład o jakiejś kradzieży w szkole, potrafiłem następnego dnia przyjść na godzinę przed rozpoczęciem lekcji i po cichutku czałem się, żeby złapać złodzieja. Miałem nawet własny pistolet i latarkę – grunt to dobre wyposażenie. Potem te wszystkie moje pasje ustąpiły na rzecz kosmosu. Czytałem mnóstwo książek na

ten temat, a panie nauczycielki, znając moje zainteresowania, prosiły o wygłaszanie prelekcji na forum klasy, na przykład na temat lotów na księżyc.

Wujek pracował w mleczarni. Gdy zbliżała się godzina piętnasta czy szesnasta, wychodziłem na ulicę i z drzeniem oczekiwałem na jego powrót. Bo jeśli miał opóźnienie, to znaczyło, że po pracy gdzieś zahaczył na kielicha. Ciocia przygotowywała mnie przez pewien czas do powrotu na Podlasie – tłumaczyła, że nie może mnie w takiej sytuacji dłużej zatrzymać, że ja przez to również cierpię, podobnie jak ona. Wróciłem zatem do biologicznych rodziców, licząc na powrót do Wałbrzycha, jak tylko ciocia Lucyna poukłada sobie relacje z mężem.

Rodziny dom po dwuletniej nieobecności powitał mnie właściwym sobie chłodem. Miny rodziców zdawały się wyrażać: „Jest, to jest. Trudno”. Miałem wtedy, pamiętam, pretensje do nich o to, że mnie oddali. Choć oczywiście u cioci i wujka nie działa mi się krzywda – wręcz przeciwnie, doznałem tam, nawet od niego, więcej miłości i ciepła niż w rodzinnym domu. Wydaje mi się, że temu wszystkiemu towarzyszyła jakaś tajemnica, którą znali jedynie moi rodzice. Dziesięć lat po mnie urodził się mój brat Jarek. I wtedy dowiedziałem się, czym jest miłość rodziców do dziecka – oni bardzo go kochali, a ja byłem trochę zawieszony w tych relacjach. Ja też w pewnym momencie przestałem zabiegać o ich miłość.

To nie było tak, że nie dostawałem jeść lub że nie miałem się w co ubrać. Pamiętam swoją pierwszą koszulę *non-iron*.

To były takie białe koszule z tworzywa, które były suche pięć minut po wypraniu – prawdziwy hit w tamtych czasach! A mówimy o czasach zapyziałej komuny, widocznej zwłaszcza u nas, na wschodzie. Co innego w Wałbrzychu – były sklepy górnicze, talony pracownicze. W sensie materialnym nie odczuwałem wielkich braków. W emocjonalnym z kolei, ze strony rodziców – nie odczuwałem niczego.

Mój ojciec zawsze bardzo się mnie czepiał. O wszystko. Wielokrotnie prorokował, że wyląduję w więzieniu, że źle skończę. Choć, prawdę mówiąc, nie miał żadnych powodów, żeby tak myśleć. Nie pamiętam z dzieciństwa choćby jednego jego uśmiechu – nigdy mnie nie pochwalił, a większość jakichś moich szczeniackich wybryków urastała w jego oczach do rangi grubej afery. Jedynym poważnym problemem była moja wielka awersja do szkoły średniej – to był fatalny wybór po prostu, bo ja nigdy nie miałem żadnych predyspozycji technicznych ani najmniejszego choćby zainteresowania elektrycznością, by trafić do technikum! Spędzanie czasu nad zadaniami, obliczeniami doprowadzało mnie do szewskiej pasji – ja wołałem coś pisać, jakieś wypracowania, poza tym bardzo dużo czytałem.

Księżę urwisów Niziurskiego „zjadłem” w trzech tomach! I to zjadłem dosłownie – bo uwielbiałem czytać podczas posiłków. Interesowała mnie druga wojna światowa, kupowałem sobie tak zwane tygrysy, czyli książeczki o czasach wojny – uzbierałem ich kilkaset. Każda z nich podejmowała

jakiś inny temat z historii: bitwa pod Midway, lotniskowce, afery szpiegowskie, sabotaż w Norsk Hydro czy zamachy na Hitlera... Ja się w tym zaczytywałem, a dzięki temu byłem omnibusem w temacie wojny. Moi rodzice natomiast nigdy mnie nie wspierali w tej pasji, ciągle wytykali mi tylko to, że – ich zdaniem – do niczego się nie nadaję. Te „tygrysy” też kupowałem z jakichś moich mikrooszczędności: w wolnych chwilach pomagałem w warsztacie samochodowym, czyściłem z rdzy jakieś tam części – to były już czasy szkoły średniej. Zaraz potem zacząłem grać z zespołem po imprezach, więc nie musiałem prosić ojca o pieniądze. Wcześniej wstydziałem się prosić nawet o parę groszy na kino! Ojciec był kierowcą, więc zawsze miał jakieś „boki”, te monety walały mu się po kieszeniach. Ja wołałem bez pytania wyjąć mu te parę groszy, zamiast go poprosić o kieszonkowe.

Między mną a ojcem nie było nawet najmniejszej nici porozumienia. Ja byłem gotowy w jednej chwili zmienić swoje nastawienie, gdyby on choć raz wykonał w moją stronę jakiś życzliwy gest. Niestety, nie stało się to nawet wtedy, gdy byłem już dorosły. Nie przyszedł do mnie na żadną premierę w teatrze, mimo że na każdą miał ode mnie zaproszenie. Uważał, że aktor to żaden zawód i że to jakaś forma pajacowania. Nauczył mnie, jak nie powinny wyglądać relacje rodzica z dzieckiem, co wpłynęło na to, jakim ja staram się być ojcem dla moich dzieci. Wbił się w moją świadomość wzór surowego ojca – nie przemocowego w sensie fizycznym, ale straszego

człowieka pod względem relacji, kompletnie zimnego, właściwie bez pozytywnych uczuć wobec swojego pierworodnego syna, mimo że ten syn – choćby ze względu na wiek – nie był w stanie mu się niczym aż tak bardzo naprzykrzyć.

Inaczej było z moim młodszym bratem: on był oczkiem w głowie rodziców, ja natomiast zawsze byłem tym gorszym. Stąd moje postanowienie: moje dzieci nigdy nie będą czuły się pozostawione same sobie, nigdy nie mogą odczuć jakiegś mojej niechęci, braku czasu czy zmęczenia; ja mam być cały dla nich i wyciągać do nich pomocną dłoń: w dzieciństwie, ale i w dorosłości. I, powiem to ironicznie, mój tata może czuć się poniekąd dumny z siebie. Nauczył mnie, jakim ojcem mam nie być.

W pewnym momencie relacje z rodzicami zupełnie mi zubożyły. Musiałem walczyć o swoje, dlatego dość szybko zacząłem imać się różnych prac, choćby przy rozładowywaniu węgla czy jako pomocnik mechanika. Nie pochodziłem z bogatej rodziny, ale też nie z bardzo biednej. Zresztą na wschodzie w latach sześćdziesiątych było w ogóle dużo biedniej niż w centralnej czy zachodniej Polsce. Moi rodzice pracowali, więc bieda właściwie w ogóle nam nie doskwierała, ale większe wydatki wiązały się zawsze z debatami i obliczeniami, czy wystarczy pieniędzy. Pamiętam, że jedną z takich dużych inwestycji był zakup telewizora – byliśmy jednymi z pierwszych jego posiadaczy na osiedlu, co było moim powodem do dumy, czułem się jak krezus. To było

jedno z największych świąt, jakie pamiętam z dzieciństwa: zakup telewizora.

Przed wyjazdem do Wałbrzycha moja mama bardzo zabiegała o miejsce w przedszkolu dla mnie, wtedy jeszcze w Białymstoku. Mieściło się ono nieopodal naszego domu, w willi bogatego Żyda, który był pokaźnym przedsiębiorcą w okresie międzywojennym. Okazały budynek otaczał piękny ogród, z huśtawkami, piaskownicą... Po długich staraniach w końcu wyprosiła to miejsce, ale w przedszkolu pojawiłem się tylko dwukrotnie – pierwszego dnia wybiegłem do tego ogrodu i krzychałem wniebogłoso: „Zabierzcie mnie, bo oni mnie tutaj mordują!”. Drugiego dnia sytuacja jeszcze bardziej wyescalowała, do tego stopnia, że nakazano mamie natychmiast mnie stamtąd zabrać. Kompletnie tego nie pamiętam, znam to tylko z opowieści, więc trudno mi powiedzieć, co tym małym Andrzejkiem targało i z czego wynikał ten jego paniczny strach. Śmieję się, że to musi być coś w genach, bo gdy już sam byłem ojcem, płaciłem za przedszkole mojej córki przez dwa lata, ale chodziła do niego co najwyżej raz w tygodniu, bo gdy tylko padało hasło, że jutro ją zawozimy, niemal natychmiast dostawała gorączki.

Okres przedszkolny spędziłem zatem w domu. Mieszkaliśmy wtedy w bardzo ładnej okolicy, w niedużym domku, w którym oprócz nas mieszkała jeszcze siostra mojej mamy ze swoją rodziną. Mieliśmy duży ogród, więc było gdzie

biegać. Moja mama pracowała, a podczas jej nieobecności opiekowała się mną jej siostra.

Dużo więcej dobrej woli wykazałem, chodząc do szkoły w Wałbrzychu. Ale oprócz wysokich klas i gmachu z czerwonej cegły to, co najbardziej utkwiło mi w pamięci, to były nasze dziecięce ekscesy, za które dostawaliśmy linijką po łapach – czyli wspomnienie niezbyt przyjemne. Któryś z kolegów odpowiedział nam, że gdy się posmaruje ręce cebulą, to bardziej puchną, dlatego przed każdą taką akcją z linijką smarowaliśmy sobie te ręce, żeby wzbudzić potem poczucie winy u nauczycieli. Ale w końcu któryś z nich zorientował się, że coś kombinujemy i przed każdym wymierzeniem rąków sprawdzano nam ręce. A jeśli nauczyciel wyczuł zapach cebuli, kazano nam klęczeć na grochu w rogu klasy.

Pamiętam, jak raz przechodziliśmy z kolegami z klasy obok kościoła i plebanii, wokół której proboszcz miał duży, zadbane ogród. Weszliśmy w poletko kukurydzy i zaczęliśmy się w nim bawić. Przyłapał nas kościelny i zaprowadził do proboszcza, a ten doniósł na nas do szkoły – mieliśmy z tego powodu sporych rozmiarów burę.

Po powrocie z Wałbrzycha moje przywódcze zdolności sprawiły, że zacząłem się żywo interesować harcerstwem. Zaczęło się od WDM, czyli Wakacyjnych Drużyn Miejskich, tworzonych w okresie letnim i rekrutujących młodzież, która chciałaby ciekawie spędzić czas. Nawet stworzyłem taką drużynę, będąc w piątej klasie szkoły podstawowej – byłem

najmłodszym drużynowym w kraju i z tego powodu zainteresowała się mną ogólnopolska prasa. Te drużyny powstawały pod patronatem Chorągwi Podlaskiej ZHP, mieliśmy nawet takie naszywki z napisem WDM. Tak mnie to wciągnęło, że jako ten młody chłopak organizowałem biwaki harcerskie – oczywiście z pomocą kadry Chorągwi. Bardzo pociągała mnie dyscyplina i oczywiście... rola przywódcy. Jeśli ktoś był niesubordynowany, to dokonywaliśmy selekcji i wywalaliśmy takiego delikwenta z drużyny. Organizowaliśmy również akcje charytatywne: zbieraliśmy butelki albo makulaturę na jakiś szczytny cel. I tak sobie działałem chyba ze dwa lata, po czym zapisałem się do „prawdziwego” harcerstwa, ale po pierwszym obozie zrezygnowałem – zabrakło mi chyba determinacji, by poświęcić się temu na tyle, na ile powinienem. Ale miałem przez lata kontakty z koleżankami i kolegami z dawnych czasów. W szkole średniej, gdy grałem już jako perkusista w zespole, próby mieliśmy właśnie w siedzibie harcerzy: w takim schronie przeciwoatomowym, z którego na co dzień korzystał szczerp „Tęczowi”.

Muszę się pochwalić, że w szkole podstawowej byłem bardzo dobrym uczniem. Podkochiwałem się w mojej wychowawczyni, pani Teresie Kosakowskiej. Pamiętam, że bardzo mi się podobała, byłem pod jej ogromnym wrażeniem, choć oczywiście była to miłość platoniczna. Do szkoły miałem niedaleko, a po drodze mijałem ogródek jordanowski – za każdym razem zatrzymywałem się w nim choć na chwilę.